KONRAD WALLENROD.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z DZIEJÓW LITEWSKICH I PRUSKICH

PRZEZ

Adama Mickiewicza,

W PETERSBURGU w R. 1828 ZA POZWOLENIEM CENZURY WYDANA.

Dovete adunque sapere come sono due generazioni da combattere.... bisogna essere volpe e leone.

W KRAKOWIE,

W DRUKARNI BRACI GIESZKOWSKICH.

1828.

71416

884-1
I 71416 L
L-P

Za pozwoleniem Cenzury

Bonawenturze i Joannie

Zaleskim

na pamiątkę lata tysiąc ośmset dwódziestego siódmego.

poświęca

AUTOR.

Przemowa.

Naród Litewski składający się s pokoleń Litwinów, Prussów i Lettów, nieliczny, osiadły w kraju nierozległym, niedosyć żyznym, długo Europie nieznajomy, około trzynastego wieku najazdami sąsiadów wyzwany był do czynniejszego działania. Kiedy Prussowie ulegali orężowi Teutonów, Litwa, wyszedłszy ze swoich lasów i bagnisk, niszczyła mieczem i ogniem okoliczne Państwa i stała się wkrótce straszną na północy. Dzieje nie wyjaśniły jeszcze dostatecznie, jakim spo-

sobem naród, tak słaby i tak długo obcym hołdujący, mógł odrazu oprzéć się i zagrozić wszystkim swoim nieprzyjaciołom, z jédnej strony prowadząc ciągłą i morderczą z Zakonem krzyżowym wojnę, z drugiej łupiąc Polskę, wybierając opłaty u Nowogroda wielkiego, i zapędzając się aż na brzegi Wołgi i półwysep Krymski. Najświetniejsza epoka Litwy przypada na czasy Olgierda i Witołda, których władza rozciągała się od Baltyckiego do czarnego morza. Ale to ogromne państwo, zbyt nagle wzrastając, nie zdołało wyrobić w sobie wewnętrznej siły, któraby różnorodne jego części spajała i ożywiała. Narodowość Litewska, rozlana po zbyt obszernych ziemiach, straciła swoję właściwą barwę. Litwini ujarzmili wiele pokoleń Ruskich, i weszli w stosunki polityczne s Polską. Sławianie, oddawna już chrześcijanie stali na wyższym stopniu cywilizacyi; a lubo pobici lub zagrożeni od Litwy, powolnym wpływem odzyskali moralną przewagę nad silnym ale barbarzyńskim ciemiężycielem, i pochłonęli go, jak Chiny najezdzców Tatarskich. Jagiełłonowie i mo-

żniejsi ich wassale stali się Polakami; wielu xiążąt Litewskich na Rusi, przyjęło religiją, język i narodowość Ruską. Tym sposobem Wielkie Xięstwo Litewskie przestało być Litewskiém, a właściwy narod Litewski ujrzał się w dawnych swoich granicach; jego mowa przestała być językiem dworu i możnych, i zachowała się tylko między pospólstwem. Litwa przedstawia ciekawy widok ludu, który w ogromie swoich zdobyczy zniknął, jak strumyk po zbytecznym wylewie opada, i płynie węższym niżeli pierwéj korytem.

Kilka już wieków zakrywa wspomniane tu wydarzenia: zeszły ze sceny życia politycznego i Litwa i najsroższy jej nieprzyjaciel Zakon krzyżowy; stosunki narodów sąsiednich zmieniły się zupełnie; interes i namiętności, które zapalały owczesną vojnę, już wygasły; nawet pamiątek nie ocaliły eśni gminne. Litwa jest już całkiem w przeszłości; jej dzieje przedstawiają s tego względu szczęśliwy dla poezyi zawód, że poeta opiéwający owczesne wypadki, samym tylko przedmiotem historycznym, zgłębieniem rzeczy i kunsztownem

wydaniem zajmować się musi, nie przywołując na pomoc interesu, namiętności lub mody czytelników. Takich właśnie przedmiotów kazał poszukiwać Szyller.

Was unsterblich im Gesang soll leben,
Muss im Leben untergehen.

"Co ma ożyć w pieśni, zaginąć powinno w rzeczywistości.„

KONRAD WALLENROD

WSTĘP.

Sto lat mijało, jak Zakon krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził;
Już Prusak szyję uchylił w okowy,
Lub ziemę oddał, a z duszą uchodził;
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,
Więził, mordował, aż do granic Litwy.

Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:
Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty,

I szumią lasy, pomieszkania bogów;
Po drugiej stronie, na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
Groźne ku Litwie wyciąga ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał zgóry objąć i garnąć pod siebie.

S tej strony tłumy litewskiej młodzieży,
W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów,
Snują się, śledząc niemieckich obrotów.
Po drudiej stronie, w szyszaku i zbroi,
Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.

I ci i owi pilnują przeprawy.
Tak Niemen dawniej sławny z gościnności,
Łączący bratnich narodów dzierżawy,
Już teraz dla nich był progiem wieczności;
I nikt, bez straty życia lub swobody,
Nie mógł przestąpić zakazanej wody.
Tylko gałązka litewskiego chmielu,
Wdziękami pruskiej topoli nęcona,
Pnąc się po wierzbach i po wodném zielu,

Smiałe, jak dawniéj, wyciąga ramiona,
I rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,
Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.
Tylko słowiki kowieńskiej dąbrowy,
Z bracią swoimi zapuszczańskiej góry,
Wiodą, jak dawniéj, litewskie rozmowy,
Lub, swobodnemi wymknąwszy się pióry,
Latają w gości na spólne ostrowy.

A ludzie? — ludzi rozdzieliły boje!
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość
Poszła w niepamięć; tylko czasem miłość
I ludzi zbliża. — Znałem ludzi dwoje.

O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów
Smierć i pożogę niosące szeregi,
I twoje dotąd szanowane brzegi
Topor z zielonych ogołoci wianków,
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów.
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów;
Wszystko rozerwie; — lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach wajdeloty.

OBIOR

Z Marienburskiej wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono;
Dzień uroczysty w Krzyżowym Zakonie;
Zewsząd Komtury do stolicy śpieszą,
Kędy, zebrani w kapituły gronie,
Wezwawszy Ducha Świętego, uradzą,
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą,
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
Na radach spłynął dzień jeden i drugi,
Bo wielu mężów staje do zawodu;
A wszyscy równie wysokiego rodu,
I wszystkich równe w zakonie zasługi;
Dotąd powszechna między bracią zgoda
Nad wszystkich wyżey stawi Wallenroda.

On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
Sławą napełnił zagraniczne domy;
Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,

Czy Otomana przez morskie odmęty,
W bitwach na czele, pierwszy był na murach,
Pierwszy zahaczał pohańców okręty;
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki.

Nie tylko między krzyżowemi roty
Wsławił orężem młodociane lata,
Zdobią go wielkie chrześcijańskie cnoty,
Ubostwo, skromność i pogarda świata.

Konrad nie słynął w przydwornym nacisku
Gładkością mowy, składnością ukłonów;
Ani swej broni dla podłego zysku
Nie przedał w służbę niezgodnych baronów.
Klasztornym murom wiek poświęcił młody;
Wzgardził oklaski i górne urzędy;
Nawet zacnieysze i słodsze nagrody,
Minstrelów hymny i piękności względy,
Nie przemawiały do zimnego ducha.
Wallenrod pochwał obojętnie słucha,
Na kraśne lica pogląda zdaleka,
Od czarującey rozmowy ucieka.

Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem — bo choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia —
Trudno odgadnąć: zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał,
I sypał damom grzecznych słówek krocie,
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.
Byłyto rzadkie chwile zapomnienia;
I wkrótce, lada słówko obojętne,
Które dla drugich nie miało znaczenia,
W nim obudzało wzruszenia namiętne;
Słowa: oyczyzna, powinność, kochanka,
O krucyatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły:
Słysząc je, znowu odwracał oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły,
I pogrążał się w dumy tajemnicze.
Może, wspomniąwszy świętość powołania,
Sam sobie ziemskich słodyczy zabrania.
Jedne znał tylko przyjaźni słodycze,
Jednego tylko wybrał przyjaciela,
Swiętego cnotą i pobożnym stanem:

Byłto mnich siwy, zwano go Halbanem.
On Wallenroda samotność podziela;
On był i duszy jego spowiednikiem,
On był i serca jego powiernikiem.
Szczęśliwa przyjaźń! świętym jest na ziemi
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętemi.

Tak naczelnicy zakonnej obrady
Rospamiętują Konrada przymioty;
Ale miał wadę — bo któż jest bez wady?
Konrad światowej nie lubił pustoty,
Konrad pijanej nie dzielił biesiady.
Wszakże, zamknięty w samotnym pokoju,
Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,
Szukał pociechy w gorącym napoju;
Wtenczas zdał się wdziewać postać nową,
Wtenczas twarz jego, bladą i surową,
Jakiś rumieniec chorowity krasił;
I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,
Które czas nieco skaził i przygasił,
Ciskały dawnych ogni błyskawice:
S piersi żałośne westchnienie ucieka,
I łzą perłową nabrzmiewa powieka,
Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,
Pieśni nucone cudzoziemską mową;

Lecz je słuchaczów serca rozumieją,
Dosyć usłyszeć muzykę grobową,
Dosyć uważać na śpiewaka postać;
W licach pamięci widać natężenie,
Brwi podniesione, pochyłe weyrzenie
Chcące z głębiny ziemnej coś wydostać;
Jakiż być może pieśni jego wątek?
Zapewne myślą, w obłędnych pogoniach,
Ściga swą młodość na przeszłości toniach —
Gdzież dusza jego? — w krainie pamiątek.

Lecz nigdy ręka, w muzycznym zapędzie,
Z lutni weselszych tonów nie dobędzie;
I lica jego niewinnych uśmiechów
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
Wszystkie uderza strony po kolei,
Prócz jednej strony — prócz strony wesela.
Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
Oprócz jednego uczucia — nadziei.

Nieraz go bracia zeszli niespodzianie,
I nadzwyczajnej dziwili się zmianie.
Konrad zbudzony, zżymał się i gniewał,
Porzucał lutnię i pieśni nie śpiewał;
Wymawiał głośno bezbożne wyrazy,

Cóś Halbanowi szeptał pokryjomu,
Krzyczał na woyska, wydawał roskazy,
Straszliwie groził, niewiadomo komu:
Trwożą się bracia, — stary Halban siada,
I wzrok zatapia w oblicze Konrada,
Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
Pełen jakowejś tajemnéj wymowy.
Czy cóś wspomina, czyli cóś doradza,
Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi,
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
Oczy przygasza i oblicze studzi.
Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,
Sprosiwszy pany, damy, i rycerze,
Rozłamie kratę żelaznego dworca,
Da hasło trąbą; wtém królewskie zwierze
Grzmi z głębi piersi, strach na widzów pada;
Jeden dozorca kroku nie poruszy,
Spokojnie ręce na piersiach zakłada,
I lwa potężnie uderzy — oczyma,
Tym nieśmiertelnéj talizmanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

II.

Z Marienburskiéj wieży zadzwoniono,
Z obradnéj sali idą do kaplicy,
Najpierwszy Komtur, wielcy urzędnicy,
Kapłani, bracia i rycerzy grono.
Nieszpornych modłów kapituła słucha,
I śpiéwa hymny do świętego Ducha.

HYMN.

—

Duchu, Swiatło boże!
Gołąbko Syonu!
Dziś chrześcijański świat, ziemne podnoże
Twojego tronu,
Widomą oświeć postacią,
I rostocz skrzydła nad Syońską bracią.
S pod twych skrzydeł niech wystrzeli
Słonecznemi promień blaski,
I kto najświętszéj godniejszy łaski,
Temu niech złotym wieńcem skronie rozweseli;
A padniem na twarz syny człowieka,

Temu, nad kim spoczywa twych skrzydeł opieka.
Synu zbawicielu!
Skinieniem wszechmocnéj ręki
Naznacz, kto z wielu
Najgodniejszy słynąć
Świętym znakiem twojéj męki:
Piotra mieczem hetmanić żołnierstwu twéj wiary,
I przed oczyma pogaństwa rozwinąć
Krolestwa twego sztandary;
A syn ziemi niech czoło i serce uniża
Przed tym, na czyich piersiach błyśnie gwiazda krzyża.

Po modłach wyszli: Arcykomtur zlecił,
Spocząwszy nieco powracać do choru,
I znowu błagać, aby Bóg oświecił
Kapłanów, braci i mężów obioru.

Wyszli nocnemi orzeźwić się chłody;
Jedni zasiedli zamkowy krużganek,
Drudzy przechodzą gaje i ogrody.
Noc była cicha, majowej pogody,
Zdala niepewny wyglądał poranek;
Xiężyc obiegłszy błonie safirowe
Z odmiennem licem, z różnym blaskiem w oku,

Drzemiąc to w ciemnym, to w śrébrnym obłoku,
Zniżał swą cichą i samotną głowę;
Jak dumający w pustyni kochanek,
Obiegłszy myślą całe życia koło,
Wszystkie nadzieje, słodycze, cierpienia,
To łzy wylewa, to spojrzy wesoło,
Wreszcie ku piersiom zmordowane czoło
Sklania, i wpada w letarg zamyślenia.

Przechadzką inni bawią się rycerze,
Lecz Arcykomtur chwil darmo nie traci,
Zaraz Halbana i celniejszych braci
Wzywa do siebie i na stronę bierze,
Aby zdaleka od ciekawéj rzeszy,
Zasięgnąć rady, udzielić przestrogi.
Wychodzi z zamku, na równinę śpieszy;
Tak rozmawiając, nie pilnując drogi,
Błądzili kilka godzin w okolicy,
Blisko spokojnych jeziora wybrzeży.
Już ranek; pora wracać do stolicy,
Stają, — głos, jakiś — skąd? — z narożnéj wieży:
Słuchają pilnie, — to głos pustelnicy.
W téj wieży dawno, przed laty dziesięciu,
Jakaś nieznana, pobożna niewiasta,
Zdala przybywszy do Maryi-miasta,

Czy ją natchnęło niebo w przedsięwzięciu,
Czy skażonego sumienia wyrzuty,
Pragnąc ukoić balsamem pokuty,
Pustelniczego szukała ukrycia,
I tu znalazła grobowiec za życia.

Długo nie chcieli zezwalać kapłani,
Wrescie stałością prośby przełamani,
Dali jej w wieży samotne schronienie.
Ledwie stanęła za święconym progiem,
Na próg zwalono cegły i kamienie,
Została sama z myślami i Bogiem;
I bramę co ją od żyjących dzieli,
Chyba w dzień sądny odemkną anieli.

U góry małe okienko i krata,
Kędy pobożny lud słał pożywienie,
A niebo, wietrzyk i dzienne promienie.
Biedna grześnico, czyż nienawiść świata
Do tyla umysł skołatała młody,
Że się obawiasz słońca i pogody?
Zaledwie w swoim zamknęła się grobie,
Nikt jej nie widział przy okienku wieży,
Przyjmować w usta wiatru oddech świeży,
Oglądać niebo w pogodnej ozdobie

I mile kwiaty na ziemnym obszarze,
I stokroć milsze swoich bliźnich twarze.

Wiedziano tylko, że jest dotąd w życiu;
Bo nieraz jeszcze świętego pielgrzyma,
Gdy nocą przy jéj błąka się ukryciu,
Jakiś dźwięk miły na chwilę zatrzyma.
Dźwięk to zapewne pobożnej piosenki:
I s pruskich wiosek gdy zebrane dzieci
Igrają w wieczor u bliskiej dąbrowy,
Natenczas z okna cóś białego świeci,
Jak gdyby promyk wschodzącej jutrzenki,
Czyto jey włosa pukiel bursztynowy,
Czylito połysk drobnej śnieżnéj ręki,
Błogosławiącey niewiniątek głowy.
Komtur tamtędy obróciwszy kroki,
Słyszy, gdy wieżę narożną pomijał,
» Tyś Konrad, przebóg! spełnione wyroki,
» Ty masz być mistrzem abyś ich zabijał!
» Czyż nie poznają? ukrywasz daremnie,
» Chociażbyś, jak wąż, inne przybrał ciało,
» Jeszczeby w twojéj duszy pozostało
» Wiele dawnego, — wszak zostało we mnie!
» Chociażbyś wrócił, po twoim pogrzebie
» Jeszcze krzyżacy poznaliby ciebie. »

Słucha rycerstwo — to głos pustelnicy,
Spójrzą na kratę, zda się pochylona,
Zda się ku ziemi wyciągać ramiona,
Do kokoż? pusto w całej okolicy.
Zdaleka tylko jakiś blask uderza
Nakształt płomyka stalowéj przyłbicy,
I cień na ziemi — czy to płaszcz rycerza?
Już znikło — pewnie złudzenie źrenicy,
Pewnie jutrzenki błysnął wzrok rumiany.
Po ziemi ranne przemknęły tumany.

Bracia! rzekł Halban, dziękujmy niebiosom,
Pewnie wyroki niebios nas przywiodły,
Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom,
Czy słyszeliście? wieszczba o Konradzie,
Konrad dzielnego imię Wallenroda.
Stójmy, brat bratu niechaj rękę poda,
Słowo rycerskie; na jutrzejszéj radzie,
On mistrzem naszym! zgoda, krzykną, zgoda!

I poszli krzycząc; długo po dolinie
Odgłos tryumfu i radości bije,
Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!
Niech żyje Zakon; niech pogaństwo zginie!

Halban pozostał mocno zamyślony,
Na wołających okiem wzgardy rzucił,
Spójrzał ku wieży, i cichemi tony
Taką piosenkę odchodząc zanucił.

Wilija naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica,
Piękna Litwinka co jéj czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

* * *

Wilija w miłej Kowieńskiej dolinie,
Swód tulipanów i narcysów płynie;
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów,
Od róż kraśniejszy i od tulipanów.

* * *

Wilija gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna swego ukochańca;
Litwince nudno między Litwinami,
Bo ukochała cudzego młodzieńca.

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona,
I giną razem w głębokościach morza.

* * *

I ciebie równie przychodzień oddali
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna!
I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza, ale sama jedna.

* * *

Serce i potok ostrzegać daremnie,
Dziewica kocha, i Wilija bieży;
Wilija znikła w ukochanym Niemnie,
Dziewica płacze w pustelniczéj wieży.

* * *

III.

Gdy mistrz praw świętych ucałował xięgi,
Skończył modlitwę i wziął od Komtura
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi,
Wzniósł dumnie czoło; chociaż troski chmura

Ciążyła nad niém; wkoło okiem strzelił,
W którém się radość napół z gniewem żarzy,
I niewidziany gość na jego twarzy,
Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy:
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
Zwiastując razem wschód słońca i gromy.

Ten zapał mistrza, to groźne oblicze,
Napełnia serca otuchą, nadzieją;
Widzą przed sobą bitwy i zdobycze,
I hojnie w myśli krew pogańską leją.
Takiemu władzcy któż dostoi kroku?
Któż się nie zlęknie jego szabli, wzroku?
Drżyjcie Litwini! już się chwila zbliża,
Gdy z murów Wilna błyśnie znamie krzyża.

Nadzieje próżne. — Cieką dni, tygodnie,
Upłynął cały długi rok w pokoju;
Litwa zagraża, Wallenrod niegodnie
Ani sam walczy, ani śle do boju
A gdy się zbudzi i cóś działać zacznie,
Stary porządek wywraca opacznie.
Woła, że Zakon z świętych wyszedł karbów,
Ze bracia gwałcą przysiężone śluby;
Módlmy się woła, wyrzeczmy się skarbów,

Szukajmy w cnotach i pokoju chluby.
Narzuca posty, pokuty ciężary,
Uciech, wygody niewinnéj zaprzecza;
Lada grzech ściga najsroższemi kary
Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin co przed laty zdala
Omijał bramy zakonnéj stolicy,
Teraz dokoła wsi co noc podpala,
I lud bezbronny chwyta z okolicy;
Piérwszy raz dzieci z rodziców swych progu
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.

Kiedyż być może czas lepszy do wojny!
Litwa szarpana wewnętrzną niezgodą,
Stąd dzielny Rusin, stąd Lach niespokojny,
Stąd Krymskie hany lud potężny wiodą.
Witołd zepchnięty od Jagiełły s tronu,
Przyjechał szukać opieki Zakonu;
W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka,
I wsparcia dotąd nadaremnie czeka.

Szemrają bracia, gromadzi się rada,
Mistrza nie widać; Halban stary bieży,
W zamku, w kaplicy nieznalazł Konrada:

Gdzież on? zapewne u narożnéj wieży.
Śledzili bracia nocne jego kroki;
Wszystkim wiadomo, każdego wieczora,
Gdy ziemię grubsze osłaniają mroki,
On idzie błądzić po brzegach jeziora;
Albo klęczący, przyparty do muru,
Okryty płaszczem, aż do białéj zorzy
Świeci zdaleka, jak posąg z marmuru,
I przez noc całą senność go nie zmorzy.
Często na cichy odgłos pustelnicy
Wstaje, i ciche daje odpowiedzi;
Brzmienia ich zdala ucho nie dośledzi,
Lecz widać z blasku wstrząśnionéj przyłbicy,
Rąk niespokojnych, podniesionej głowy,
Że jakieś ważne toczą się rozmowy.

PIEŚŃ z WIEŻY.

Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?
Czy już tak długie przepłakałam lata,
Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,
Że od mych westchnień pordzawiała krata?
Gdzie łza upadnie w zimny głaz przecieka,
Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga,
Ten ogień żywią pobożne kapłany;
Jest wieczne źródło na górze Mendoga,
To źródło żywią śniegi i tumany;
Nikt moich westchnień i łez nie podsyca,
A dotąd boli serce i źrenica.

* * *

Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
Zamek bogaty, kraina wesoła,
Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia;
Spokojność nakształt cichego anioła,
We dnie i w nocy, na polu i w domie
Strzegła mię z bliska, chociaż niewidomie.

* * *

Trzy piękne córki było nas u matki,
A mnie najpierwej żądano w zamęście;
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki,
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?
Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział
To, o czém w Litwie nikt pierwej nie wiedział?

* * *

O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
Kamiennych miastach, kędy wiara święta,
Gdzie lud w bogatych modli się kościołach,
I kędy dziewic słuchają xiążęta,
Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
Czuli w miłości, jak nasi pasterze.

* * *

Gdzie człowiek, ziemne złożywszy pokrycie,
Z duszą ulata po roskosznem niebie,
Ach, ja wierzyłam, bo niebieskie życie
Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie!
Ach odtąd marzę w dobrych i złych losach,
Tylko o tobie, tylko o niebiosach.

* * *

Krzyż na twych piersiach oczy me weselił,
W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło,
Niestety! z krzyża gdy piorun wystrzelił,
Wszystko dokoła ucichło, zagasło!
Nic nie żałuję, choć gorzkie łzy leję,
Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję.

* * *

Nadzieję, cichém powtórzyły echem
Brzegi jeziora, doliny i knieje,
Zbudził się Konrad i z dzikiém uśmiechem;
Gdzież jestem, wołał, tu słychać nadzieje?
Na co te pieśni? pomnę twoje szczęście;
Trzy piękne córki było was u matki,
Ciebie najpierwéj żądano w zamęście...
Biada, o biada wam nadobne kwiatki!
Straszliwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliźnie się błędną,
Uschną trawy i róże uwiędną,
I będą żółte, jako piersi gadu!
Uciekaj myślą i dni przypominaj,
Któreby's dotąd pędziła wesoło,
Gdyby..... ty milczysz, śpiewaj i przeklinaj;
Niechaj łza straszna, co głazy przecieka,
Nie ginie darmo; zdejmę szyszak żyłowy,
Tu niechaj spadnie, niech mi pali czoło;
Tu niechaj spadnie, jam cierpieć gotowy;
Chcę znać zawczasu, co mię w piekle czeka.—

Głos z wieży.

Daruj, mój miły, daruj mi, jam winna.
Przyszedłeś późno, tęskno było czekać,
I mimowolnie jakaś pieśń dziecinna...
Przez mi z tą pieśnią — miałażbym narzekać?

Z tobą, mój luby, z tobąśmy przeżyli
Z nikomą chwilę, lecz tej jednej chwili
Nie będę mieniać z całą ziemian zgrają,
Na ciche życie przepędzone w nudzie.
Ty sam mówiłeś, że zwyczajni ludzie
Są jako konchy, co się w bagnie tają;
Ledwie raz na rok falą niepogody
Wypchnięte z mętnej pokażą się wody,
Otworzą usta; raz westchną ku niebu,
I znowu wrócą do swego pogrzebu.
Nie, jam na takie szczęście niestworzona;
Jeszcze w ojczyźnie ciche pędząc życie,
Nieraz w pośrodku towarzyszek grona
Za czemś tęskniłam i wzdychałam skrycie
I czułam serca niespokojne bicie.
Nieraz spoziomej uciekałam łąki,
I na najwyższym stanąwszy pagórku,
Myśliłam sobie, gdyby te skowronki
Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku;
Poszłabym z niemi, i tylko z tej góry
Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć
Kwiat niezabudki; a potem za chmury
Lecieć wysoko! wysoko! i — zniknąć.

Tyś mię wysłuchał, ty, skrzydły orlemi,
Monarcho ptaków, wzniosłeś mię do siebie.
Teraz, skowronki, o nic was nie proszę,
Bo gdzież ma lecieć, po jakie roskosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi?

KONRAD.

Wielkość! i znowu wielkość, mój aniele!
Wielkość, dla której jęczemy w niedoli.
Kilka dni jeszcze, niech serce przeboli,
Kilka dni tylko, już ich tak nie wiele.
Stało się! próżno po czasie żałować,
Płaczmy, — lecz niechaj drżą nieprzyjaciele,
Bo Konrad płakał ażeby mordować.
Pocoś tu przyszła, po co moja droga!
Z klasztornych murów, z świątyni pokoju?
Jam cię poświęcił na usługi Boga,
Nie lepiéjż było w świętych jego murach,
Zdala [illegible] płakać i umierać;
Niż tu w krainie kłamstwa i rozboju,
W grobowéj wieży, w powolnych torturach,
Konać, i oczy samotne otwierać;
I przez niezłomne téj kraty okucia

Pomocy żebrać; a ja słuchać muszę,
Patrzeć na długą skonania katuszę,
Stojąc zdaleka, i kląć moję duszę,
Że w niej są jeszcze ostatki uczucia.

GŁOS z WIEŻY.

Jeśli wyrzekasz, nie przychodź tu więcéj,
Chociażbyś przyszedł, błagał najgoręcéj,
Już nie usłyszysz! już okno zamykam,
Spuszczę się znowu w moję wieżę ciemną,
Niechaj w milczeniu gorzkie łzy połykam.
Bądź zdrów na wieki, bądź zdrów, moj jedyny!
I niech zaginie pamięć tej godziny,
W której nie miałeś litości nademną.

KONRAD.

Więc ty miéj litość, ty jesteś aniołem,
Stój, a jeżeli prośba cię nie wstrzyma,
O ten róg wieży uderzę się czołem,
Będę cię błagał skonaniem Kaima.

GŁOS.

O! miejmy litość nad sobą samemi,
Pomnij, mój luby, że, jak ten świat wielki,

Dwoje nas tylko na ogromnéj ziemi,
Na morzach piasku dwie rosy kropelki;
Że lada wietrzyk, z ziemnego padołu
Znikniem na zawsze, ach! gińmyż pospołu.
Nie na to przyszłam, ażeby cię dręczyć,
Nie chciałam przyjąć święcenia kapłanek,
Bo niebu serca nie śmiałam zaręczyć,
Póki w niém ziemski panował kochanek;
Pragnęłam zostać w klasztorze i skromnie
Oddać dni moje zakonnic usłudze,
Lecz tam bez ciebie wszystko w około mnie,
Było tak nowe, tak dzikie, tak cudze.
Wspomniałam sobie, że po latach wielu,
Miałeś powrocić do Maryi grodu,
Szukając zemsty na nieprzyjacielu
I broniąc sprawy biédnego narodu
Kto czeka, lata myślami ukraca,
Mówiłam sobie, on już może wraca,
Może już wrócił; czyż nie wolno żądać,
Gdy mam żyjąca zakopać się w grobie,
Abym cię mogła raz jeszcze oglądać,
Abym przynajmniej umarła przy tobie.
Pójdę więc, rzekłam, w pustelniczym domku,
Około drogi, na skały ułomku,
Zamknę się sama, może rycerz jaki

Koło méj chatki przechodzący blisko,
Wymówi czasem kochanka nazwisko,
Może pomiędzy obcemi szyszaki
Ujrzę znak jego; niech odmieni zbroje,
Niechaj na tarczy obce godła kładnie,
Niech twarz odmieni, jeszcze serce moje,
Zdaleka nawet, kochanka odgadnie.
I gdy go ciężka powinność przymusza
Wszystko dokoła wyniszczać i krwawić,
Wszyscy go przeklną, będzie jedna dusza,
Co mu zdaleka śmié pobłogosławić!
Tu mój obrałam domek i grobowiec,
W cichéj ustroni, kędy świętokradzki
Mych jęków nie śmié podsłuchać wędrowiec.
Ty, wiém, że lubisz samotne przechadzki;
Myśliłam sobie, on może z wieczora
Wybieży zdala od swych towarzyszy;
Pomówić z wiatrem i z falą jeziora,
Pomyśli o mnie i głos mój usłyszy.
Niebo spełniło niewinne życzenia;
Przyszedłeś, moje zrozumiałeś pienia.
Dawniej prosiłam, by mię twym obrazem
Ony pocieszały, choć obraz był niemy.
Miś ile szczęścia! dziś możemy razem —
Razem zapłakać....

KONRAD.

I cóż wypłaczemy?
Płakałem, pomnisz, kiedy się wydarłem
Na wieki wieków z twojego objęcia,
Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,
Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.
Już uwieńczone zbyt długie męczeństwo,
Teraz stanąłem u życzeń mych celu,
Mogę się zemścić na nieprzyjacielu;
A ty mi przyszłaś wydzierać zwycięstwo.
Odtąd jak znowu z okna twej wieżycy
Spójrzałaś na mnie, w całym kręgu świata
Znowu nic niéma dla mojej źrenicy,
Tylko jezioro i wieża i krata.
Wkoło mnie wszystko wre wojny rozruchem.
Śród trąb odgłosu, śród oręża szczęku.
Ja niecierpliwém, wytężoném uchem
Szukam ust twoich anielskiego dźwięku,
I dzień mój cały jest oczekiwaniem,
A gdy wieczornéj doczekam się pory,
Chcę ją przedłużyć rozpamiętywaniem;
Ja życie moje liczę na wieczory.
Tymczasem Zakon spoczynkowi łaje,
O wojnę prosi, własnéj żąda zguby,

I mściwy Halban wytchnąć mi nie daje:
Albo dawniejsze przypomina śluby,
Wyrznięte sioła i zniszczone kraje,
Albo gdy nie chcę skargi jego słuchać,
Jednem westchnieniem, skinieniem, oczyma,
Umie przygasłą chęć zemsty rozdmuchać.
Wyrok mój zda się przybliżać do końca,
Nic już Krzyżaków od wojny nie wstrzyma.
Wczoraśmy z Rzymu odebrali gońca,
Z różnych stron świata niezliczone chmury
Pobożny zapał w pole nagromadził,
Wszyscy wołają, abym ich prowadził
Z mieczem i krzyżem na Wileńskie mury.
A przecież, — wyznam ze wstydem w tej chwili,
Kiedy się ważą narodów wyroki,
Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,
Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli.
Młodości! jakże wielkie twe ofiary!
Jam miłość szczęście, jam niebo za młodu
Umiał poświęcić dla sprawy narodu,
Z żalem lecz z męstwem! a dzisiaj ja stary,
Dzisiaj powinność, rospacz, wola Boża
Pędzą mię w pole! a ja siwej głowy
Nie śmiem oderwać od tych ścian podnoża,
Ażeby twojej nie stracić — rozmowy!

Umilknął; z wieży słychać tylko jęki
W milczeniu, długie przeciekły godziny,
Noc rozrzedniała, i promyk jutrzenki
Już zarumienił lica cichej wody.
Pomiędzy liściem drzemiącej krzewiny
Ze szmerem ranne przewiewały chłody,
Ptaszęta cichém ozwały się pieniem,
Umilkły znowu, — i długiém milczeniem
Znać dają że się zbudziły zawcześnie;
Konrad powstaje, wzniósł ku wieży czoło,
Długo na kratę poglądał boleśnie,
Słowik zanucił, Konrad naokoło
Spójrzał, już ranek; — opuścił przyłbicę,
W szerokie zwoje płaszcza twarz obwinął,
Skinieniem ręki żegna pustelnicę,
I w krzakach zginął.
Tak duch piekielny od wrót pustelnika
Na odgłos dzwonu porannego znika.

IV.

UCZTA.

Był dzień patrona, uroczyste święto;
Komtury z braćmi do stolicy jadą;
Białe chorągwie na wieżach zatknięto.
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.

Sto białych płaszczów powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi;
To byli bracia, a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Konrad na czele, po lewicy tronu
Wziął miejsce Witołd ze swymi hetmany;
Dawniej był wrogiem, dziś gościem Zakonu,
Przeciwko Litwie sojuszem związany.

Już Mistrz powstawszy daje uczty hasło,
»Cieszmy się w Panu!« wnet puhary błysły.
»Cieszmy się w Panu!« tysiąc głosów wrzasło,
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł, i na łokciu wsparty
Słuchał s pogardą nieprzystojnych gwarów;
Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharów.

«Cieszmy się, rzecze, cóżto bracia moi,
Także rycerzom cieszyć się przystoi?
Zrazu wrzask piany a teraz szmér cichy,
Mamyż ucztować jak zbójce lub mnichy?

Inne zwyczaje były za mych czasów,
Kiedy na pełném trupów bojowisku,
Śród gór Kastylskich lub Finlandzkich lasów,
Przy obozowem piliśmy ognisku.

Tam były pieśni: między waszym gminem
Czyż nie ma barda albo menestrela?
Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla myśli winem.»

Zarazem różni śpiewacy powstali,
Włoch otyły słowiczemi tony
Konrada męstwo i pobożność chwali;
Ówdzie trubadur od brzegów Garony,

Opiéwa dzieje miłośnych pasterzy,
Zaklętych dziewic, i błędnych rycerzy.

Wallenrod drzémał, piosenki ustały.
Nagle zbudzony przerwanym łoskotem,
Cisnął Włochowi trzos ładowny złotem,
»Mnie, rzekł, jednemu śpiewałeś pochwały;
Jeden nie może dać innéj nagrody.
Weź i pójdź z oczu; ów trubadur młody,
Który piękności i miłości służy,
Niechaj daruje, że w rycerskim gronie
Dziewicy nie masz, coby mu na łonie
Wdzięczna przypięła marny kwiatek róży.

Tu róże zwiędły, innego chcę barda,
Zakonnik rycerz innéj chce piosenki,
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda
Jak hałas rogów i oręża szczęki,
I tak ponura jak klasztorne ściany,
I tak ognista jak samotnik pijany.

Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rozczula i gniewa i nudzi,
I znowu niechaj znudzonych przestrasza,

Takie jest życie — taka piosnka nasza.
Kto ją zaśpiewa? kto? — »Ja« odpowiedział
Sędziwy starzec, który u podwojów
Między germkami i paziami siedział,
Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów:
Brodę miał gęstą wiekiem ubieloną,
Głowę obwiéwa ostatek siwizny,
Czoło i oczy zakryte zasłoną,
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.

W prawicy starą lutnię Pruską nosił,
A lewą rękę wyciągnął do stoła,
I tém skinieniem posłuchania prosił,
Ucichli wszyscy — »Ja śpiéwam, zawoła.
Dawniéj Prusakom i Litwie śpiewałem,
Dziś jedni legli w ojczyzny obronie,
Drudzy, żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie
Dobić się wolą nad jej martwém ciałem;
Jak sługi wierne w dobrym i złym losie
Giną na swego dobroczyńcy stosie.
Inni sromotnie po lasach się kryją,
Inni, jak Witold, między wami żyją.

Ale po śmierci, Niemcy wy to wiecie,
Sami spytajcie niecnych zdrajców kraju;

Co oni poczną, gdy na tamtym świecie
Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,
Zechcą swych przodków wywoływać z raju,
Jakim językiem poproszą o wsparcie?
Czy w ich niemieckiej barbarzyńskiej mowie
Głos dzieci swoich uznają przodkowie?

O dzieci, jaka na Litwę sromota,
Żaden mi żaden nie przyniósł obrony,
Gdy od ołtarza stary wajdelota
Byłem w niemieckich kajdanach wleczony.
Samotny w obcej ziemi zestarzałem,
Śpiewak niestety! śpiewać nie mam komu;
Na Litwę patrząc oczy wypłakałem.
Dzisiaj jeżeli chcę westchnąć do domu,
Nie wiém gdzie leży móy dóm ulubiony,
Czy tam, czy owdzie, czyli z tamtej strony.

Tu tylko w sercu, tu się ochroniło,
Co w mej ojczyźnie najlepszego było,
I te ubogie dawnych skarbów szczątki
Weźcie mi Niemcy, weźcie mi pamiątki.

Jak zwyciężony rycerz na igrzysku,
Zachowa życie, ale cześć utraca;

I dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,
Znowu do swego zwycięzcy powraca,
I raz ostatni wytężając ramie,
Broń swą pod jego stopami rozłamie.

Tak mię ostatnia natchnęła ochota,
Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę,
Niech wam ostatni w Litwie wajdelota
Nuci ostatnię litewską piosenkę.»

Skończył, i czekał Mistrza odpowiedzi,
Czekają wszyscy w milczeniu głębokiém,
Konrad badawczém i szyderczém okiem
Witołda liców i poruszeń śledzi.

Postrzegli wszyscy, kiedy wajdelota
Mówił o zdrajcach, jak się Witold mienił,
Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił,
Dręczy go równie i gniéw i sromota.
Nakoniec szablę ściskając u boku,
Idzie, zdziwioną gromadę rostrąca,
Spójrzał na starca, zachamował kroku,
I chmura gniewu nad czołem wisząca,
Opadła nagle w bystrym łez potoku;

Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania,
I w tajemnicze utonął dumania.

A Niemcy scicha — »czyliż do biesiady
Przypuszczać mamy żebrające dziady?
Kto słucha pieśni, i kto je rozumie?«
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie
Coraz żywszemi przerywano śmiechy;
Paziowie krzyczą świstając w orzechy,
»Oto jest nóta litewskiego śpiewu.«

Wtém Konrad powstał: waleczni rycerze,
Dziś Zakon, wedle starego zwyczaju,
Od miast i xiążąt podarunki bierze;
Jak winne hołdy s podległego kraju,
Żebrak wam piosnkę przynosi w ofierze;
Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,
Weźmijmy piosnkę, będzie to grosz wdowi.

Pośród nas widzim xiążęcia Litwinów,
Gośćmi zakonu są jego wodzowie,
Miło im będzie pamięć dawnych czynów
Słyszeć, w ojczystej odświeżoną mowie.
Kto nie rozumie, niechaj się oddali,
Ja czasem lubię te posępne jęki,

Niezrozumiałéj litewskiéj piosenki;
Jak lubię łoskot rozhukanéj fali,
Albo szmér cichy wiosennego deszczu;
Przy nich spać miło — śpiewaj stary wieszczu.»

PIEŚŃ WAJDELOTY.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jéj przyjście wieszcza odgadnie źrenica;
Bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych smętarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica,
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą, i okropnie wyją.

[illegible] stąpa kroki złowieszczémi,
Na sioła, zamki i bogate miasta;
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie,
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko! — ale więcej zguby,
Wróżył Litwinom od niemieckiéj strony,
Szyszak błyszczący ze strusiémi czuby,
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczém jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła.
Ach, kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić.

O wieści gminna, ty arko przymierza!
Między dawnemi i młodszemi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty.

Arko, tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem —
Ty czasem miéwasz i broń archanioła.

Płomień rozgryzie malowane dzieje,

Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega,
I stamtąd dawne opowiada czasy.
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu:
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,
I brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek — nieraz kmieć stoletni,
Trącając kości żelazem oraczém,
Stanął, i zagrał na wierzbowéj fletni
Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni.
Echa mu wtórzą, ja słuchałem zdala,
Tym mocniej widok i pioska rozżala:
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Zacz[illegible]o w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła,
Tak na dźwięk pieśni, kości s pod méj stopy
V olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.

Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora pust[illegible]brzmią licznemi wiosły,
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony xiążąt, wojowników zbroje,
Spiewają wieszcze, tańczy dziewic grono —
Marzyłem cudnie, srodze mię zbudzono!

Zniknęły lasy i ojczyste góry:
Myśl znużonemi ulatując pióry
Spada, w domową tuli się zaciszę;
Lutnia umilkła w otrętwiałym ręku,
Sród żałosnego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę.
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi, nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią, i pamięć oswiecą.
Pamięć naówczas, jak lampa s kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jéj serce,
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu rostoczy
Kraśne acz nieco przyćmione kobierce.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać

W piersi słuchaczów, i wskrzesić postaci
Zmarłéj przeszłości: gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci;
Możeby jeszcze w téj jedynéj chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jednę tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.'

Lecz po co zbiegłe wywoływać wieki!
I swoich czasów śpiéwak nie obwini,
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki,
O nim zaśpiéwam, uczcie się Litwini!

* * *

Umilknął starzec i dokoła słucha,
Czy Niemcy dalej pozwolą mu śpiéwać;
W sali dokoła była cichość głucha,
Ta zwykła wieszczów nanowo zagrzewać.
Zaczął więc piosnkę, ale innéj treści,
Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,
Po stronach słabiéj i rzadziej uderzał,
I z hymnu zstąpił do prostéj powieści.

POWIEŚĆ WAJDELOTY.

Skąd Litwini wracali? z nocnéj wracali wycieczki,
Wieźli łupy bogate w zamkach i cérkwiach zdobyte,
Tłumy brańców Niemieckich s powiązanemi rękami,
Ze stryczkami na szyjach, biegą przy koniach zwycięzców;
Poglądają ku Prusom i zalewają się łzami,
Poglądają na Kowno — i polecają się Bogu.
W mieście Kownie pośrodku ciągnie się błonie Peruna
Tam xiążęta Litewscy, gdy po zwycięstwie wracają,
Zwykli rycerzy Niemieckich palić na stosie ofiarnym.
Dwaj rycerze pojmani jadą bez trwogi do Kowna,
Jeden młody i piękny, drugi latami schylony.
Oni sami śród bitwy hufce Niemieckie rzuciwszy
Między Litwinów uciekli; xiążę Kiejstut ich przyjął:
Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.
Pyta z jakiéj krainy, w jakich zamiarach przybyli.
» Nie wiém, rzecze młodzieniec, jaki mój ród i nazwisko,
Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewolą schwytany.
Pomnę tylko że kędyś w Litwie śród miasta wielkiego
Stał dóm moich rodziców; było to miasto drewniane,
Na pagórkach wyniosłych, dóm był z cegły czerwonéj.
W koło pagórków na błoniach puszcza szumiała jodłowa,
Srodkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro.

Razu jednego w nocy wrzask nas ze snu przebudził,
Dzień ognisty zaświtał w okna, trzaskały się szyby,
Kłęby dymu buchnęły po gmachu, wybiegliśmy w bramę,
Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem,
Krzyk okropny do broni! Niemcy są w mieście, do broni!
Ojciec wypadł z orężem, wypadł i więcej nie wrócił.
Niemcy wpadli do domu, jeden wypuścił się za mną,
Zgonił, porwał mię na koń; nie wiem, co stało się dalej,
Tylko krzyk mojej matki długo długo słyszałem.
Pośród szczęku oręża, domów runących łoskotu,
Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk ten pozostał w mém uchu.
Teraz jeszcze gdy widzę pożar i słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini
Za odgłosem piorunu; oto jest wszystko co z Litwy,
Co od rodziców wywiozłem. W sennych niekiedy marzeniach
Widzę postać szanowną matki i ojca i braci,
Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza
Coraz grubsza, i coraz ciemniej zasłania ich rysy.
Lata dzieciństwa płynęły, żyłem śród niemców jak niemiec,
Miałem imie Waltera, Alfa nazwisko przydano:
Imie było niemieckie, dusza litewska została,
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść.
Winrych mistrz Krzyżacki chował mię w swoim pałacu,
On sam do chrztu mię trzymał, kochał i pieścił jak syna.
Jam się nudził w pałacach, s kolan Winrycha uciekał

Do wajdeloty starego. Wówczas pomiędzy niemcami
Był wajdelota litewski wzięty w niewolą przed laty,
Służył tłumaczem wojsku, ten gdy się o mnie dowiepział,
Zem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie,
Rospowiadał o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał
Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystéj i pieśnią.
On mię często ku brzegom Niemna sinego prowadził,
Zstamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste poglądać.
Gdyśmy do zamku wracali, starzec łzy ocierał,
Aby nie wzbudzić podejrzeń; łzy mi ocierał, a zemstę
Przeciw Niemcóm podniecał. Pomnę jak w zamek wróciwszy
Nóż ostrzyłem tajemnie; z jaką zemsty roskoszą
Rznąłem kobierce Winrycha lub kaleczyłem zwierciadła,
Na tarcz jego błyszczącą piasek miotałem i plwałem.
Potém w latach młodzieńczych częstośmy z portu Kłeypedy,
W łódkę ze starcem siadali brzegi litewskie odwiedzać.
Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspomnienia.
Upojony tą wonią zdało się że dzieciniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małemi.
Starzec pomagał pamięci; on piękniejszemi słowami,
Niźli złota i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował,
Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych
Pędzić chwile młodości; ileżto dzieci litewskich
Szczęścia takiego nie znają płacząc w kajdanach zakonu.

To słyszałem na błoniach, lecz na wybrzeżach Połągi,
Gdzie grzmiącemi piersiami białe rostrąca się morze,
I s pienistéj gardzili piasku strumienie wylewa:
Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnéj kobierce,
Już je piasek obleciał; widzisz te zioła pachnące,
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie,
Ach! daremnie, bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe płetwy rostacza, lądy żyjące podbija,
I rosciąga [redacted] dokoła dzikiéj królestwo pustyni.
Synu, plony wiosenne żywo do grobu wtrącone,
To są ludy podbite, bracia to nasi Litwini;
Synu, piaski z zamorza burzą pędzone, — to zakon.
Serce bolało słuchając, chciałem mordować krzyżaków,
Albo do Litwy uciekać; starzec hamował zapędy,
Wolnym rycerzom, powiadał, wybiérać oręże,
I na polu otwartém bić się równemi siłami;
Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufność, daléj obaczym co począć.
Byłem posłuszny starcowi, szedłem z wojskami Teutonów;
Ale w pierwszéj potyczce ledwiem obaczył chorągwie
Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne usłyszał,
Poskoczyłem ku naszym, starca za sobą przywodzę.
Jako sokoł wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
Choć srogiemi mękami łowcy odbiorą mu rozum,
I puszczają, żeby braci sokołów wojował;

Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
Po niezmiernych obszarach swojéj błękitnéj ojczyzny,
Wolném odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł usłyszy
Pójdź myśliwcze do domu, s klatką nie czekaj sokoła.»

Skończył młodzieniec; a Kiejstut słuchał ciekawie, słuchał
Córa Kiejstuta Aldona, młoda i piękna jak bóstwo.
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wieczory,
Kiejstrutówna jak zwykle w siostr i rówiennic orszaku
Za krosnami usiada, albo się bawi przędziwem;
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,
Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich,
I o swojéj młodości. Wszystko, co Walter powiadał,
Łowi uchem dziewica, myślą łakomą połyka;
Wszystko umié na pamięć, nieraz i we snie powtarza.
Walter mówił jak wielkie zamki i miasta za Niemnem,
Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,
Jak na gonitwach waleczni kopije kruszą rycerze,
A dziewice s krużganków patrzą i wieńce przyznają.
Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za Niemnem
I o niepokalanéj syna bożego rodzicy,
Któréj postać anielską w cudnym pokazał obrasku,
Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na piersiach
Dziś litwince darował gdy ją do wiary nawracał,
Gdy pacierze z nią mówił; chciał wszystkiego nau

Co sam umiał; niestety, on ją i tego nauczył,
Czego dotąd nie umiał; on nauczył ją kochać,
I sam uczył się wiele; z jakiém roskoszném wzruszeniem
Słyszał z ust jéj litewskie już zapomniane wyrazy.
S każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe uczucie,
Jako iskra s popiołu; były to słodkie imiona
Pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiej przyjaźni, i jeszcze
Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości, któremu
Nié masz równego na ziemi, oprócz wyrazu — ojczyzna.

Skądże, pomyślał Kiejstut, nagła w mej córce odmiana,
Gdzie jéj dawna wesołość, gdzie jéj dziecinne rozrywki?
W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem,
Ona siedzi samotna, albo z Walterem rozmawia.
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub krośną;
Jéj z rąk igła wypada, nici plątają się w krośnach,
Sama nie widzi co robi, wszyscy mi to powiadają.
Wczora postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,
A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.
Jakże mogłaby widzieć, kiedy jéj oczy i myśli
Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają.
Ile razy zapytam, gdzie ona poszła? w dolinę;
Skąd powraca? z doliny; cóż w téj dolinie? młodzieniec
Ogród dla niéj zasadził. Jestże ten ogród piękniejszy
Niźli me sady zamkowe? (pyszne Kiejstut miał sady,

Pełne jabłek i gruszek, dziewic kowieńskich ponęta).
Nie ogródek to wabi; zimą widziałem jéj okna,
Cała szyba tych okien, co obrócone do Niemna,
Czysta jakby śród maja, lód nie zaciemił kryształu;
Walter chodzi tamtędy, pewnie siedziała u okna
I gorącem westchnieniem lody na szybach stopiła.
Ja myśliłem, że on ją czytać i pisać nauczy,
Słysząc, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć zaczęli;
Chłopiec dobry, waleczny, jak ksiądz w pismach ćwiczony,
Mamże go z domu wypędzić? on tak potrzebny dla Litwy!
Hufce najlepiéj szykuje, sypie naylepiéj okopy,
Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko,
Pójdź Walterze, bądź zięciem moim i bij się za Litwę.

Walter pojął Aldonę — Niemcy, wy pewnie myślicie
Że tu koniec powieści, w waszych miłośnych romansach
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę,
Tylko dodaje że żyli długo i byli szczęśliwi.
Walter kochał swą żonę, lecz miał duszę ślachetną;
Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie.

Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanócił skowronek,
Innym krajom skowronek miłość i roskosz obwieszcza,
Biednéj Litwie co roku wróży pożary i rzezie;
Ciągną szeregi krzyżowe niezliczonemi tłumami,

Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanosi
Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbroj, rżenia rumaków.
Jak mgła spuszcza się obóz, błonia szeroko zalega,
Tu i ówdzie migocą straży naczelnych proporce,
Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,
Mosty po Niemnie rzucili, Kowno dokoła oblegli.
Dzień w dzień od taranów walą się mury i baszty,
Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety,
Pod niebiosami ognistym wznosi się bomba polotem,
I jak sokoł na ptaki z góry na dachy uderza.
Kowno w gruzy runęło, Litwa do Kiejdan uchodzi;
W gruzach runęły Kiejdany, Litwa po górach i lasach
Broni się; Niemcy daléj ciągną plądrując i paląc.

Kiejstut z Walterem piérwsi w bitwach, ostatni w odwrocie,
Kiejstut zawsze spokojny; od dzieciństwa przywyknął
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać.
Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami walczyli;
Idąc w ślady swych przodków bił się i niedbał o przyszłość.
Inne były Waltera myśli; schowany śród Niemców,
Znał potęgę Zakonu, wiedział, że Mistrza wezwanie
Z całej Europy wyciąga skarby oręże i wojska.
Prusy broniły się niegdyś, starły Prusaków Teutony,
Litwa piérwej czy późniéj równéj ulegnie kolei;
Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszłością Litwinów.

Synu, Kiejstut zawoła, zgubnym ty jesteś prorokiem;
Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie pokazać.
Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły,
I z nadzieją zwycięstwa z piersi uciekła odwaga.
Cóż poczniemy z Niemcami? — Ojcze, Walter powiadał,
Wiém ja sposob jedyny, straszny, skuteczny, niestety!
Może kiedyś objawię. Tak rozmawiali po bitwie,
Nim ich trąba ku nowym bitwom i klęskom wezwała.

Kiejstut coraz smutniejszy, Walter jak mocno zmieniony!
Dawniej, chociaż nie bywał nigdy zbytecznie wesoły,
W chwilach nawet szczęśliwych lekki mrok zamyślenia
Lice jego przysłaniał, ale w objęciach Aldony
Dawniej miewał pogodne czoło i lice spokojne;
Zawsze ją witał uśmiéchem, czułém pożegnał wejrzeniem.
Teraz, zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść;
Cały ranek przed domem, z założonemi rękami,
Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek i wiosek,
Patrzy dzikiémi oczyma; w nocy porywa się ze snu;
I przez okno krwawą łunę pożarów uważa.

Mężu drogi, co tobie? pyta ze łzami Aldona;
— Co mnie? będęż spokojnie drzémał, aż Niemcy napadną,
I sennego związawszy w ręce katowskie oddadzą,
— Boże uchowaj, mężu! straże pilnują okopów.

— Prawda straże pilnują, czuwam i szablę mam w ręku,
Ale kiedy wyginą straże, wyszczerbi się szabla...
Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości dożyję...
— Bóg nam zdarzy pociechę z dziatek — wtém Niemcy napadną,
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko,
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego.
Ja sam możebym ojca, możebym braci mordował,
Gdyby nie wajdelota, — drogi Walterze ujedźmy
Daléj w Litwę, skryjmy się w lasy i góry od Niemców.
— My odjedziem, a inne matki i dzieci zostawim.
Tak uciekali Prusacy, Niemiec ich w Litwie dogonił:
Jeśli nas w górach wyśledzi? — Znowu daléj ujedziem.
— Daléj? daléj nieszczęsna? daléj ujedziem za Litwę,
W ręce Tatarów, lub Rusi? Na tę odpowiedź Aldona
Pomieszana milczała; jej zdawało się dotąd
Że ojczyzna jak świat jest długa, szeroka bez końca;
Pierwszy raz słyszy, że w Litwie całéj nie było schronienia,
Załamawszy ręce pyta Waltera, co począć?
— Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom,
Skruszyć potęgę Zakonu; mnie ten sposób wiadomy.
Lecz nie pytaj dla Boga! stokroć przeklęta godzina,
W któréj od wrogów zmuszony chwycę się tego sposobu.
Więcéj nie chciał powiadać, próśb Aldony nie słuchał,
Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed sobą,
Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony

Klęsk i cierpień widokiem, wzdął się i serce ogarnął;
Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne uczucie,
Dotąd mu żywot słodzące; nawet uczucie miłości.
Tak u białowieskiego dębu jeżeli myśliwi,
Ogień tajemny wznieciwszy, rdzeń głęboko wypalą,
Wkrótce lasów monarcha straci swe liście powiewne,
Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zieloność,
Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona jemioły.

Długo Litwini po zamkach górach i lasach błądzili,
Napadając na Niemców lub napadani wzajemnie.
Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy,
Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi Litewskiéj poległo,
Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.
Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły z za morza,
Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się w góry,
Z wyszczerbionemi szablami, z porąbanemi tarczami,
Kurzem, posoką okryci, weszli posępni do domu.
Walter nie spójrzał na żonę, słowa do niéj nie wyrzekł.
Po niemiecku z Kiejstutem i wajdelotą rozmawiał.
Nie rozumiała Aldona, serce tylko wróżyło
Jakieś okropne wypadki; gdy zakończyli obradę,
Wszyscy trzej ku Aldonie smutne zwrócili wejrzenie.
Walter patrzał najdłużéj z niemej wyrazem rospaczy;
Wtém gęstemi kroplami łzy mu rzuciły się z oczu.

Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca,
I przepraszał za wszystko, co ucierpiała dla niego.
Biada, mowił, niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują;
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.]
Wielkie serca Aldono, są jak ule zbyt wielkie,
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.
Daruj luba Aldono! dzisiaj chcę w domu pozostać,
Dzisiaj o wszystkiem zapomnę, dzisiaj będziemy dla siebie,
Czem bywaliśmy dawniej, jutro... i nie śmiał dokończyć
Jaka radość Aldonie! zrazu myśli nieboga
Ze się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoły,
Widzi go mniej zamyślonym, w oczach więcej żywości,
W licach dostrzega rumieniec; Walter u nóg Aldony
Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków i wojnę
Rzucił na chwilę w niepamięć, mówił o czasach szczęśliwych
Swego do Litwy przybycia, pierwszéj z Aldoną rozmowy,
Pierwszéj w dolinę przechadzki, i o wszystkich dziecinnych
Ale sercu pamiętnych, pierwszéj miłości zdarzeniach.
Zą cóż tak lube rozmowy słowem: jutro, przerywa?
I zamyśla się znowu, długo na żonę pogląda,
Łzy mu kręcą się w oczach, chciałby coś wyrzec i nie śmie.
Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiątki
Nato tylko wywołał, aby się z niemi pożegnać?

Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora pieszczoty,
Czyliż będą ostatnim blaskiem świecznika miłości!..
Darmo się pytać, Aldona patrzy, czeka niepewna,
I wyszedłszy z komnaty jescze przez szpary pogląda.
Walter wino nalewał, mnogie wychylał puhary,
I wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.

Słońce ledwo wschodziło, tętnią po bruku kopyta,
Dwaj rycerze s tumanem rannym śpieszą się w góry.
Wszystkieby straże zmylili, jednéj nie mogli omylić.
Czujne są oczy kochanki, zgadła ucieczkę Aldona!
Drogę w dolinie zabiegła; smutne to było spotkanie.
Wróć się, o luba do domu; wróć się, ty będziesz szczęśliwa,
Może będziesz szczęśliwa, w lubéj rodziny objęciach;
Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz!
Wielu xiążąt dawniéj o twą starało się rękę;
Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim człowieku,
Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — nawet i ciebie!
Bywaj zdrowa, zapomnij; zapłacz niekiedy nade mną:
Walter wszystko utracił, Walter sam jeden pozostał,
Jako wiatr na pustyni; błąkać się musi po świecie,
Zdradzać, mordować i potem ginąć śmiercią haniebną.
Ale po latach ubiegłych, imie Alfa nanowo
Zabrzmi w Litwie i kiedyś z ust wajdelotów posłyszysz
Czyny jego; natenczas, luba, natenczas pomyślisz,

Że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnic okryty,
Jednéj tobie znajomy, twoim był kiedyś małżonkiem,
I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroctwa.
Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy ni słowa.
Jedziesz, jedziesz! krzyknęła, i zatrwożyła się sama
Słowem jedziesz, to jedno słowo brzmiało w jej uchu;
Nic nie myśliła, o niczém pomnić nie mogła; jéj myśli,
Jej pamiątki, jej przyszłość, wszystko splątało się tłumnie;
Ale sercem odgadła że niepodobna powracać,
Że niepodobna zapomnieć; oczy zbłąkane toczyła,
Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejrzenie.
Wtém wejrzeniu już dawniej nieznajdowała pociechy,
I zdawała się szukać czegoś nowego i wkoło
Oglądała się znowu, wkoło pustynie i lasy;
W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem wieżyca,
Było klasztor zakonnic, chrześcijan smutna budowa.
Na téj wieżycy spoczęły oczy i myśli Aldony,
Jak gołąbek porwany wiatrem śród morskiey topieli,
Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu.
Walter zrozumiał Aldonę, udał się za nią w milczeniu,
Opuściedział swój zamiar, taić przed światem nakazał,
I u bramy — niestety! straszne to było rozstanie —
Alf z wajdelotą pojechał, dotąd nic o nich słychać.
Biada, biada jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi;
Jeśli zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony zatruwszy...

Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił...
Przyszłość resztę pokaże. Niemcy, skończyłem piosenkę.

* * *

Koniec już koniec — wielki szmer na sali,
I cóż ów Walter? jakie jego czyny?
Gdzie? nad kim zemsta? słuchacze wołali;
Mistrz tylko jeden śród szumnéj drużyny
Siedział milczący z pochyloną głową,
Mocno wzruszony, porywa co chwila
Puhary z winem i do dna wychyla.
W jego postaci zmianę widać nową,
Różne uczucia w nagłych błyskawicach,
Po rospalonych krzyżują się licach.
Coraz to groźniéj czoło mu się chmurzy,
Usta drżą sine, obłąkane oczy
Latają niby jaskółki śród burzy,
Wreszcie płaszcz zrzuca i na środek skoczy,
» Gdzie koniec pieśni? wraz mi koniec śpiewaj,
Albo daj lutnię; czego drżący stoisz?
Podaj mi lutnię, puhary naleway,
Zaśpiewam koniec jeśli ty się boisz.

Znam ja was, każda piosnka wajdeloty
Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie;

Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie,
Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty.
Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka,
Nakształt gadziny obwija pierś dziecka,
I wlewa w duszę najsroższe trucizny,
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny.

Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,
Jak zabitego cień nieprzyjaciela
Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,
Aby krew mieszać w puhary wesela.
Słuchałem pieśni, za nadto niestety!..
Stało się, stało; znam cię zdrajco stary;
Wygrałeś! wojna, tryumf dla poety,
Dajcie mi wina, spełnią się zamiary.

Wiem koniec pieśni, nie... zaśpiewam inną;
Kiedy walczyłem na górach Kastyli,
Tam mnie Maurowie ballady uczyli.
Starcze, gray nótę, tę nótę dziecinną,
Którą w dolinie... o! byłto czas błogi —
Na tę muzykę zwykłem zawsze nócić.
Wracajże starcze, bo przez wszystkie bogi
Niemieckie, pruskie — starzec musiał wrócić,
Uderzył lutnię i głosem niepewnym

Szedł za dzikiemi tonami Konrada,
Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,
Rycerzy długa uśpiła biesiada,
Lecz Konrad śpiéwa, budzą się nanowo,
Stają, i w szczupłém ścisnąwszy się kole,
Pilnie zważają każde pieśni słowo.

BALLADA

ALPUHARA.

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza,
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy,
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły śpiże,
Rwą się okopy, mur wali,
Już z minaretów błysnęły krzyże,
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor widząc swe roty
Zbite w upornéj obronie,
Przerznął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świéżéj zamku ruinie,
Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańcę i łupy.

Wtém straż oddźwierna wodzom donosi,
Że rycerz z obcéj krainy
O posłuchanie co rychléj prosi,
Ważne przywożąc nowiny.

Byłto Almanzor król muzułmanów,
Rzucił bespieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów.
I tylko błaga o życie.

„Hiszpanie, woła, na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wassalem obcéj korony.„

Hiszpanie męstwo cenić umieją;
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni koleją
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczulej uścisnął,
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.

A wtem osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spójrzał dokoła, wszystkich zadziwił,
Zbladłe, ssiniałe miał lice,
Smiechem okropnym usta wykrzywił
Krwią mu nabiegły źrenice.

„ Patrzcie o! giaury, jam siny, blady,
Zgadnijcie, czyim ja posłem?
Jam was oszukał, wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem.

Pocałowaniem wszczepiłem w dusze
Jad, co was będzie pożerać,
Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
Wy tak musicie umierać.„

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona,
Chciałby uściśnieniem wiecznem
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona
Smieje się -- śmiechem serdecznym.

Smiał się -- już skonał -- jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwarły,
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli,
Dżuma za nimi wślad biegła,
Z gór Alpuhary nim się wywlekli
Reszta ich wojska polegla.

* * *

Takto przed laty mścili się Maurowie,
Wy chcecie wiedzieć o zemście Litwina?
Cóż? jeśli kiedy uiści się w słowie,
I przyjdzie mieszać zarazę do wina...
Ale nie — o nie — dziś inne zwyczaje;
Xiążę Witołdzie, dziś litewskie pany
Przychodzą własne oddawać nam kraje,
I zemsty szukać na swój lud znękany!

Przecież nie wszyscy — o! nie, na Peruna!
Jeszcze są w Litwie — jeszcze wam zaśpiewam...
Precz mi s tą lutnią — zerwała się strona,
Nie będzie pieśni — ale się spodziewam,
Że kiedyś będą... dziś — zbytnie puhary...
Za nadto piłem — cieszcie się — i bawcie.
A ty Al... manzor, — precz mi z oczu stary —
Precz mi z Albanem — samego zostawcie.

Rzekł, i niepewną powracając drogą,
Znalazł swe miejsce, na krzesło się rzucił;
Jeszcze coś groził; uderzywszy nogą
Stół z puharami i winem wywrócił.
Nakoniec osłabł, głowa się schyliła
Na poręcz krzesła; wzrok po chwili gasnął

I drżące usta piana mu okryła,
I zasnął.

Rycerze chwilę w zadumieniu stali,
Wiedzą o smutnym nałogu Konrada,
Że gdy się winem zbytecznie zapali,
W dzikie zapały, w bezprzytomność wpada.
Ale na uczcie! publiczna sromota!
Przy obcych ludziach, w bezprzykładnym gniewie!
Kto go podniecił? gdzie ów wajdelota?
Wymknął się z ciżby, i nikt o nim nie wie.

Były powieści że Halban przebrany
Litewską piosnkę Konradowi śpiewał;
Że tym sposobem znowu chrześcijany
Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał.
Ale skąd w mistrzu tak nagłe odmiany?
Za co się Witold tak srodze rozgniewał?
Co znaczy Mistrza dziwaczna ballada?
Każdy w domysłach nadaremnie bada.

V.

WOJNA.

Wojna — już Konrad hamować nie zdoła
Zapędów ludu i nalegań rady;
Dawno już cały kraj o pomstę woła,
Za Litwy napaść i Witolda zdrady.

Witold, co wsparcia u Zakonu żebrał,
Dla odzyskania Wileńskiéj stolicy;
Teraz po uczcie, gdy wieści odebrał,
Że wkrótce ruszą w pole Krzyżownicy,
Zmienił zamiary, nową przyjaźń zdradził,
I swych rycerzy tajnie uprowadził.

W zamki Teutonów, leżące po drodze,
Wszedł z wymyślonym od Mistrza roskazem,
A potém oręż wydarłszy załodze,
Wszystko wyniszczył ogniem i żelazem.
Zakon i wstydem i gniewem zagrzany,
Krzyżową wojnę podniosł na pogany.
Wychodzi bulla; morzem, lądem płyną
Nieprzeliczone wojowników roje,
Możni xiążęta, z wassalów drużyną,

Czerwonym krzyżem ozdabiają zbroje;
A każdy na to swe życie poślubił,
Aby pogaństwo ochrzcił — lub wygubił.

Poszli ku Litwie; i cóż tam sprawili?
Jeśliś ciekawy, wynidź na okopy,
Spójrzyj ku Litwie gdy się dzień nachyli,
Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy
Krwawym płomieni ruczajem obleje,
Oto są wojen napaśniczych dzieje;
Łacno je skreślić: rzeź, grabież, pożoga
I blask, co głupie rozwesela zgraje,
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
Głos wołający o pomstę do Boga.

Wiatry pożogę coraz daléj niosły,
Rycerze daléj w głąb Litwy zabiegli,
Słychać, że Kowno, że Wilno oblegli;
Wkońcu ustały i wieści i posły.
Już w okolicy nie widać płomieni,
I niebo coraz daléj się czerwieni.
Darmo Prusacy z podbitéj krainy
Brańców i mnogich łupów wyglądają;
Darmo ślą częstych gońców po nowiny,
Śpieszą się gońce, i — nie powracają.

Srogą niepewność gdy każdy tłumaczy,
Radby doczekać chociażby rospaczy.

Minęła jesień, zimowe zamieci
Huczą po górach, zawalają drogi,
I znowu zdala na niebiosach świeci
Północne zorze? czy wojny pożogi?
Coraz widoczniéj razi blask płomieni,
I niebo coraz bliżéj się czerwieni.

Z Maryenburga lud patrzy ku drodze,
Już widać zdala: — kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych; — Konrad! nasi wodze?
Jakże ich witać? zwycięzce? czy zbiegi?
Gdzie reszta pułków? Konrad wzniosł prawicę,
Pokazał daléj ciżbę rosproszoną;
Ach! sam ich widok zdradził tajemnicę,
Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną;
Walą się, depcą jak podłe owady,
W ciasném naczyniu ginące pospołu;
Pną się po trupach, nim nowe gromady
Dźwignionych znowu potrącą do dołu.
Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi,
Ci w biegu nagle przystygli do drogi;

Lecz ręce wznoszą i stojące trupy
Wskazują w miasto jak podróżne słupy.

Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy,
Lękał się zgadnąć i o nic nie pytał;
Bo całe dzieje nieszczęsnéj wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mrożna śmierć wisiała,
Harpija głodu ich lica wyssała.
Tu słychać trąby Litewskiej pogoni:
Tam wicher toczy kłąb śniegu po błoni;
Opodal wyje chuda psów gromada,
A nad głowami krążą kruków stada.

Wszystko zginęło, Konrad wszystkich zgubił;
On, co z oręża takiéj nabył chwały;
On, co się dawniej rostropnością chlubił;
W ostatniéj wojnie lękliwy, niedbały,
Witołda chytrych sideł niedostrzegał,
A oszukany, chęcią zemsty ślepy,
Zagnawszy wojsko na Litewskie stepy,
Wilno tak długo, tak gnuśnie oblegał.

Kiedy strawiono dobytki i plony,
Gdy głód Niemieckie nawiedzał obozy,

A nieprzyjaciel wkoło rosproszony
Niszczył posiłki, przecinał dowozy;
Codziennie z nędzy marły Niemców krocie;
Czas było szturmem położyć kres wojny,
Albo o rychłym zamyślać odwrocie;
Wtenczas Wallenrod ufny i spokojny
Jeździł na łowy, albo w swym namiocie
Zamknięty knował tajemne układy,
I wodzów niechciał przypuszczać do rady.

I tak w zapale wojennym ostygnął,
Że ludu swego niewzruszony łzami,
Coby na jego obronę miecz dźwignął,
Z założonemi na piersiach rękami,
Cały dzień dumał, lub z Halbanem gadał,
Tym czasem zimą nawaliła śniegi,
I Witołd świeże zebrawszy szeregi
Oblegał wojsko, na obóz napadał;
O hańbo w dziejach mężnego Zakonu;
Wielki Mistrz pierwszy uciekł z pola bitwy.
Zamiast wawrzynów i sutego plonu,
Przywiózł wiadomość o zwycięstwach Litwy.

Czyście widzieli, gdy s tego pogromu
Wojsko upiorów prowadził do domu?

Ponury smutek czoło jego mroczy,
Robak boleści wywijał się z lica;
I Konrad cierpiał — ale spójrzyj w oczy:
Ta wielka, napół otwarta źrenica,
Jasne z ukosa miotała pociski,
Niby kometa grożący wojnami,
Co chwila zmienna, jak nocne połyski,
Któremi szatan podróżnego mami;
Wściekłość i radość połączając razem,
Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem.

Drżał lud i szemrał, Konrad niedbał o to;
Zwołał na radę niechętnych rycerzy;
Spójrzał, przemówił, skinął — o sromoto!
Słuchają pilnie i każdy mu wierzy;
W błędach człowieka widzą sądy Boga,
Bo kogoż z ludzi nie przekona — trwoga?

Stój, dumny władco! jest sąd i na ciebie.
W Maryenburgu wiem ja loch podziemny;
Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie,
Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebiu sali,
I w dzień i w nocy się pali;

Dwanaście krzeseł koło tronu stoi,
Na tronie ustaw xięga tajemnicza;
Dwunastu sędziów, każdy w czarnéj zbroi,
Wszystkich maskami zamknięte oblicza,
W lochach od gminnéj ukryli się zgrai,
A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie,
Karać potężnych swoich władców zbrodnie,
Nazbyt gorszące lub ukryte światu.
Skoro ostatnia uchwała zapadnie,
I rodzonemu nieprzepuszczą bratu:
Każdy powinien gwałtownie lub zdradnie,
Na potępionym dopełnić wyroku:
Sztylety w ręku, rapiéry u boku.
Jeden z maskowych zbliżył się do tronu,
I stojąc z mieczem przed xięgą zakonu,
Rzekł — » straszliwi sędziowie! „
Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem;
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.
Kto on jest? niewiadomo; przed dwunastu laty
Niewiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie krainy.
Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
Był w orszaku hrabiego, nosił germka szaty.

Wkrótce rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści zginął;
Ów giermek podejrzany o jego zabicie
S Palestyny uszedł skrycie,
I ku hiszpańskim brzegom zawinął.
Tam w potyczkach z Maurami dał męstwa dowody,
I na turniejach mnogie pozyskał nagrody,
A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.
Przyjął nakoniec zakonnika śluby
I został Mistrzem dla Zakonu zguby.
Jak rządził, wszyscy wiecie; téj ostatniéj zimy,
Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą walczymy,
Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy,
I tam miewał z Witołdem tajemne rozmowy.
Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów;
Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą,
Nie pojęli, co Konrad mówił z pustelnicą,
Lecz, sędziowie! on mówił językiem Litwinów.
Zważywszy, co nam tajnych sądów posły
Niedawno o tym człowieku doniosły,
I o czem świeżo mój szpieg donosi,
I wieść już ledwie nie publiczna głosi:
Sędziowie! ja na Mistrza zaskarżenie kładę
O fałsz, zabójstwo, herezyą, zdradę. —

Tu oskarżyciel przed zakonu księgą

Ukląkł, i wsparłszy na krucifiks rękę,
Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą,
Na Boga i na Zbawiciela mękę;

Umilkł. Sędziowie sprawę rostrząsają;
Lecz niéma głosów, ni cichéj rozmowy,
Ledwie rzut oka lub skinienie głowy,
Jakąś głęboką, groźną myśl wydają.
Każdy z kolei zbliżał się do tronu,
Ostrzem sztyletu, na księdze Zakonu
Karty przerzucał, prawa cicho czytał,
O zdanie tylko sumnienia zapytał,
Osądził, rękę do serca przykłada,
I wszyscy zgodnie zawołali: — biada!
I trzykroć echem powtórzyły mury:
Biada! — w tém jedném, jedném tylko słowie
Jest cały wyrok; — pojęli sędziowie,
Dwanaście mieczów podnieśli do góry,
Wszystkie zmierzone — w jednę pierś Konrada,
Wyszli w milczeniu, — a jeszcze raz mury
Echem za nimi powtórzyły: — biada!

POŻEGNANIE.

Zimowy ranek — wichrzy się i śnieży;
Wallenrod leci śród wichrów i śniegów,
Zaledwie stanął u jeziora brzegów,
Woła i mieczem bije w ściany wieży.
Aldono, woła, żyjemy Aldono!
Twój miły wraca, wypełnione śluby,
Oni zginęli, wszystko wypełniono.

PUSTELNICA.

Alf? to głos jego? mój Alfie, mój luby,
Jakże? już pokój? ty powracasz zdrowo?
Już niepojedziesz?

KONRAD.

O! na miłość Boga,
O nic niepytaj; słuchaj, moja droga,
Słuchaj i pilnie zważaj każde słowo.
Oni zginęli, — widzisz te pożary?

Widzisz? to Litwa w kraju Niemców broi;
Przez lat sto Zakon ran swych nie wygoi.
Trafiłem w serce stugłowej poczwary;
Strawione skarby, źródła ich potęgi,
Zgorzały miasta, morze krwi wyciekło,
Jam to uczynił; dopełnił przysięgi,
Straszniejszéj zemsty nie wymyśli piekło.
Ja więcéj nie chcę, wszak jestem człowiekiem!
Spędziłem młodość w bezecnéj obłudzie,
W krwawych rozbojach, — dziś schylony wiekiem,
Zdrady mię nudzą, niezdolny do bitwy,
Już dosyć zemsty, i Niemcy są ludzie.
Bóg mię oświecił, ja powracam z Litwy,
Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,
Kowieński zamek, już tylko ruiny;
Odwracam oczy, przelatuję czwałem,
Biegę do owéj, do naszéj doliny.
Wszystko jak dawniéj! też laski, te kwiaty;
Wszystko jak było owego wieczora,
Gdyśmy dolinę żegnali przed laty.
Ach! mnie się zdało; że to było wczora!
Kamień, pamiętasz ów kamień wyniosły,
Co niegdyś naszych przechadzek był celem?
Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły,
Ledwiem go dostrzegł, osłoniony zielem.

Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami.
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
Lubiłaś spocząć między jaworami;
Zródło, gdziem szukał dla ciebie napoju;
Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził.
Nawet twój mały sadek zostawiono,
Com go suchemi wierzbami ogrodził.
Te suche wierzby, jaki cud, Aldono!
Dawniéj mą ręką wbite w piasek suchy,
Dziś ich nie poznasz, dzisiaj piękne drzewa,
I liście na nich wiosenne powiewa,
I młodych kwiatków unoszą się puchy.
Ach! na ten widok, pociecha nieznana,
Przeczucie szczęścia, serce ożywiło;
Całując wierzby padłem na kolana,
Boże mój, rzekłem, oby się spełniło;
Obyśmy w strony ojczyste wróceni,
Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
Odżyli znowu; niech i naszą dolę
Znowu nadziei listek zazieleni.

Tak, wrócmy! pozwól! mam w Zakonie władzę,
Każę otworzyć; lecz po co roskazy?
Gdyby ta brama była tysiąc razy
Twardszą od stali, wybiję, wysadzę;

Tam cię, o luba! ku naszéj dolinie,
Tam poprowadzę, poniosę na ręku,
Lub daléj pójdziem; są w Litwie pustynie,
Są głuche cienie białowieskich lasów,
Kędy niesłychać obcéj broni szczęku,
Ani dumnego zwycięzcy hałasów,
Ni zwyciężonych braci naszych jęku.
Tam w środku cichej, pasterskiej zagrody,
Na twoim ręku, u twojego łona,
Zapomnę, że są na świecie narody,
Ze jest świat jakiś, — będziem żyć dla siebie.
Wróć, powiedz, pozwól. — Milczała Aldona,
Konrad umilknął, czekał odpowiedzi.
Wtém krwawa jutrznia blysnęła na niebie:
Aldono, przebóg! ranek nas uprzedzi,
Zbudzą się ludzie, i straż nas zatrzyma;
Aldono, wołał, drżał z niecierpliwości,
Głosu nie stało, błagał ją oczyma,
I załamane ręce wzniósł do góry,
Padł na kolana, i żebrząc litości,
Objął, całował, zimnéj wieży mury.

Nie, już po czasie — rzekła smutnym głosem,
Ale spokojnym, — Bóg mi doda siły,
On mię zasłoni przed ostatnim ciosem.

Kiedym tu weszła, przysięgłam na progu,
Niezstąpić z wieży, chyba do mogiły.
Walczyłam z sobą; dziś i ty, mój miły,
I ty mi dajesz pomoc przeciw Bogu.
Chcesz wrócić na świat, kogo? nędzną marę.
Pomyśl, ach pomyśl, jeżeli szalona
Dam się namówić, rzucę tę pieczarę,
I z uniesieniem padnę w twe ramiona,
A ty nie poznasz, ty mię nie powitasz,
Odwrócisz oczy i s trwogą zapytasz
Ten straszny upior jestże to Aldona?
I będziesz szukał w zagasłej źrenicy,
I w twarzy, która.. ach! myśl sama razi...
Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy
Pięknéj Aldonie oblicza nie kazi.

Ja sama — wyznam — daruj, mój kochany,
Ilekroć xiężyc żywszém światłem błyska,
Gdy słyszę głos twój, kryję się za ściany,
Ja cię, mój drogi, nie chcę widzieć z bliska.
Ty może dzisiaj już nie jesteś taki,
Jakim bywałeś, pamiętasz, przed laty,
Gdyś wjechał w zamek z naszemi orszaki,
Lecz dotąd w mojém zachowałeś łonie,
Też same oczy, twarz, postawę, szaty.

Tak motyl piękny, gdy w bursztyn utonie,
Na wieki całą zachowuje postać.
Alfie, nam lepiéj takiemi pozostać,
Jakiemi dawniej byliśmy, jakiemi
Złączym się znowu, — ale nie na ziemi.

Doliny piękne zostawmy szczęśliwym,
Ja lubię moję kamienną zaciszę,
Mnie dosyć szczęścia gdy cię widzę żywym,
Gdy miły głos twój co wieczora słyszę.
I w tej zaciszy można, Alfie drogi,
Możnaby wszystkie cierpienia osłodzić,
Porzuć już zdrady, mordy i pożogi,
Staraj się częściéj i raniéj przychodzić.

Gdybyś — posłuchaj — wokoło równiny
Chłodnik podobny owemu zasadził,
I twoje wierzby kochane sprowadził,
I kwiaty, nawet ów kamień z doliny;
Niech czasem dziatki z pobliskiego sioła
Bawią się między ojczystemi drzewy,
Ojczyste w wianek uplatają zioła,
Niechaj Litewskie powtarzają śpiewy.
Piosnka ojczysta pomaga dumaniu,
I sny sprowadza o Litwie i tobie;

A potém, potém, po mojém skonaniu,
Niech przyśpiewują i na Alfa grobie.

Alf już nie słyszał, on po dzikim brzegu
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci,
W dzikich widokach i w nagłonym biegu,
Znajdował jakąś ulgę, — utrudzenie.
Ciężko mu, duszno śród zimowej słoty;
Zerwał płaszcz, pancerz, rostargał odzienie,
I s piersi zrzucił wszystko, — prócz zgryzoty.

Już rankiem trafił na miejskie okopy,
Ujrzał cień jakiś, zatrzymał się, bada,
Cień krąży daléj i cichemi stopy
Wionął po śniegu, w okopach przepada,
Głos tylko słychać: — biada, biada, biada!

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał,
Pomyślił chwilę — i wszystko zrozumiał.
Dobywa miecza i na różne strony
Zwraca się, śledzi niespokojném okiem;
Pusto dokoła, tylko przez zagony
Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał,
Spójrzy ku brzegom, staje rozrzewniony,

Nakoniec wolnym, chwiejącym się krokiem
Wracam się znowu pod wieżę Aldony.

Dostrzegł ją zdala, jeszcze w oknie była
— Dzień dobry krzyknął, przez tyle lat z sob
Tylkośmy nocną widzieli się dobą;
Teraz dzień dobry, — jaka wróżba miła!
Pierwszy dzień dobry, po latach tak wielu.

ALDONA.

Niechcę zgadywać, bądź zdrów, przyjacielu,
Już nazbyt światło; gdyby cię poznano...
Przestań namawiać, — bądź zdrów do wieczora,
Vyniść nie mogę, nie chcę.

ALF.

Już nie pora!
Wiesz, o co proszę? — zrzuć jaką gałąskę —
Nie, kwiatów nie masz, więc nitkę z odzieży;
Albo s twojego warkocza zawiąskę,
Albo kamyczek ze ścian twojej wieży;
Chcę dzisiaj, — jutra nie każdemu dożyć —

Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,
Który dziś jeszcze był na twojém łonie,
Na którém jeszcze świeża łeska płonie.
Chcę go przed śmiercią na mém sercu złożyć,
Chcę go ostatnim pożegnać wyrazem,
Mam zginąć wkrótce, nagle; zginiemy razem.
Widzisz tę bliską, przedmiejską strzelnicę,
Tam będę mieszkał; dla znaku co ranek,
Wywieszę czarną chustkę na krużganek,
Co wieczor lampę u kraty zapalę;
Tam wiecznie patrzaj, jeśli chustkę zrzucę,
Jeżeli lampa przed wieczorem skona;
Zamknij twe okno, może już nie wrócę.

Bądź zdrowa. — odszedł i zniknął; Aldona
Jeszcze pogląda zwieszona u kraty,
Ranek przeminął, słońce zachodziło,
A długo jeszcze w oknie widać było
Jéj białe z wiatrem igrające szaty,
I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

»Zaszło nakoniec, rzekł Alf do Halbana,
Wskazując słońce z okna swéj strzelnicy,
W któréj zamknięty od samego rana
Siedział patrząjąc w okna pustelnicy:

Daj mi płaszcz, szablę, bądź zdrów, wierny sługo,
Pójdę ku wieży, bywaj zdrów na długo,
Może na wieki; posłuchaj Halbanie,
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,
Ja nie powrócę, opuść to mieszkanie. —
Chcę, chciałbym jeszcze cóś tobie polecić —
Jakżem samotny! pod niebem i w niebie
Nie mam nikomu, nigdzie nic powiedzieć
W godzinę skonu, — prócz jéj i prócz ciebie.
Bądź zdrów Halbanie, ona będzie wiedzieć,
Ty zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano...
Lecz cóżto? słyszysz? — w bramę kołatano.

Kto idzie? trzykroć odźwierny zawołał,
Biada! krzyknęło kilka dzikich głosów;
Widać, że strażnik oprzéć się nie zdoła,
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,
Już przez żelazne pokręcone wschody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega,
Alf zawaliwszy wrzeciądzem podwoje,
Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,
Poszedł ku oknu, — stało się, — zawoła.
Nalał i wypił, starcze! w ręce twoje!

Halban pobladnął, chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój, wstrzymuje się, myśli;
Słychać za drzwiami coraz bliższe dzwięki,
Opuszcza rękę, — to oni, — już przyśli.

» Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy!
I czegoż myślisz? masz nalaną czaszę,
Moja wypita; starcze! w ręce wasze.»
Halban poglądał w milczenia rospaczy.

»Nie, ja przeżyię... i ciebie, mój synu!—
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,
I żyć — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta,
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja dolecі,
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiewać, i kiedyś w przyszłości
S téj pieśni wstanie mściciel naszych kości.
Na poręcz okna Alf ze łzami pada,
I długo, długo ku wieży poglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzyć się żądał
Miłym widokiem, który wnet postrada.
Objął Halbana, westchnienia zmieszali

W ostatniém cichém, długiém uściśnieniu.
Już u wrzeciądzów słychać łoskot stali,
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:

» Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie,
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu,
Oto jest starzec kapelan Zakonu,
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie.«

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz bladnie, pochyla się, słania;
Wsparł się na oknie, i tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, Mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy,
» Oto są grzechy mojego żywota!

» Gotówem umrzeć, czegóż chcecie więcéj?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy,
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy,
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów;
Tam marzną waszych ostatki szeregów.
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady,
One się gryzą o szczątki biesiady.

» Ja to sprawiłem; jakem wielki, dumny,
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!
Jak Samson jedném wstrząśnieniem kolumny,
Zburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem. »

Rzekł, spójrzał w okno i bez czucia pada,
Ale nim upadł lampę z okna ciska,
Ta trzykroć kołem obiegając błyska,
Nakoniec legła przed czołem Konrada;
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiej topi się i mroczy,
Wreszcie; jak gdyby dając skonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła rostoczy,
I przy tym blasku widać Alfa oczy,
Już pobielały — i światło zagasło.

I w tejże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany, —
S czyjejto piersi? wy się domyślicie;
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,
Że piersi, s których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu.
W tym głosie całe ozwało się życie.

Tak strony lutni od tęgiego ciosu

Zabrzmią i pękną: zmieszanemi dźwięki
Zdają się głosić początek piosenki,
Ale jej końca nikt się nie spodziewa.

Taka pieśń moja o Aldony losach;
Niechaj ją anioł muzyki w niebiosach,
A czuły słuchacz w duszy swéj dośpiéwa.

Koniec.

Objaśnienia.

—

Str. w.

4. 2. *z Maryenburskiej wieży zadzwoniono.*

(Marienburg,) po polsku *Malborg*, miasto obronne, niegdyś stołeczne Krzyżaków, za Kazimierza Jagiellona przyłączone do Rzeczypospolitej Polskiej, poźniej oddane w zastaw margrabiom Brandeburskim, przeszło nakoniec w posiadłość królów Pruskich. W sklepach zamku były groby Wielkich-mistrzów; niektóre dotąd ocalały. *Voigt*, Professor Królewiecki wydał przed kilku laty historyą Maryenburga, dzieło ważne dla historyi Prus i Litwy.

4. 8. 9. *Wielki krzyż* i *wielki miecz*, insignia Wielkich mistrzów.

4. 17. *Domy*, tak nazywały się klasztory, albo raczej zamki, po różnych krajach Europy rozrzucone.

5. 6. *Gonić na ostre*, dawne wyrażenie Polskie, *combattre à outrance.*

9. 20. *Tym nieśmiertelnej talizmanem duszy.*

Moc bezrozumną, na uwięzi trzyma.

Wzrok człowieka, powiada *Cooper*, jeśli jaśnieje wyrazem odwagi i rozumu, sprawia mocne wrażenie nawet na dzikich zwierzętach. Przytaczamy s tej okoliczności prawdziwe zdarzenie amerykańskiego strzelca, który skradając się do kaczek usłyszał szelest,

Str. w.

podniosł się, i ujrzał z przestrachem ogromnego tuż leżącego lwa. Zwierz zdawał się być równie zdziwiony nagłym widokiem człowieka atletycznej postawy. Strzelec nie śmiał dać ognia, mając strzelbę śrótem nabitą. Stał więc nieruchomy, oczyma tylko grożąc nieprzyjacielowi. Lew ze swojej strony, siedząc spokojnie, nie spuszczał oczu ze strzelca: po kilku sekundach odwrócił głowę i oddalił się powoli; ale zaledwo uszedł kilkanaście kroków zatrzymał się i znowu powrócił. Znalazł na miejscu nieruchomego strzelca, spotkał się znowu z nim oko w oko, i nakoniec, jak gdyby uznawał wyższość człowieka, spuścił oczy i odszedł. *Bibliothèque Universelle.* 1827 *Fevrier. Voyage du Capitaine Head.*

11. 12. *Arcykomtur*, (Grosskomthur,) najpierwszy urzędnik po wielkim Mistrzu.

12. 22. *Jakaś pobożna, nieznana niewiasta.* Kroniki owych czasów piszą o wiejskiej dziewicy, która przybywszy do Marienburga żądała, aby ją zamurowano w osobnej celi, i tam życia dokonała. Grób jej słynął cudami.

15. 10. *Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom*
Konrad, dzielnego imie Wallenroda,
On Mistrzem naszym ---

Wczasie obioru, jeśli zdania były podzielone lub niepewne, zdarzenia podobne, brane za wieszczbę, wpływały na obrady kapituły. I tak (Winrych Kniprode) pozyskał wszystkie głosy, ponieważ kilku braci słyszało jakoby w grobach Mistrzów wołanie trzy-

Str. w.

krotne: *Vivrice! orda laborat*, Winrychu! Zakon w niebespieczeństwie.

21. 1. *Zamek Swentoroga*, zamek Wileński, gdzie był niegdyś utrzymywany *Znicz*, to jest ogień wieczny.

32. 15. *Cieszmy się w Panu*, hasło uczt zakonnych owego wieku.

39. 5. *Pieśń Wajdeloty.* Obacz Poezyi Mickiewicza T. 2. S. 81. gdzie opisane jest podobne zdarzenie za mistrzostwa Dusener von Arfberg.

39. 10. *Staje widomie morowa dziewica.* Lud prosty w Litwie wyobraża morowe powietrze w postaci dziewicy, której zjawienie się, opisane tu według powieści gminnej, poprzedza straśliwą chorobę. Przytoczę, w treści przynajmniej, słyszaną niegdyś w Litwie balladę, "We wsi zjawiła się morowa dziewica, i we„dług zwyczaju przeze drzwi lub okno wsuwając rękę, i po„wiewając czerwoną chustką, rozsiewała śmierć po domach. „Mieszkańcy zamykali się warownie; ale głód i inne potrzeby „wkrótce zmusiły do zaniedbania takowych środków ostrożności; „wszyscy więc czekali śmierci. Pewny szlachcic, lubo dostatecznie „opatrzony w żywność i mogący najdłużej wytrzymać to dziwne „oblężenie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich, „wziął szablę zygmuntówkę, na której było *imię Jezus*, *imię „Maryja*, i tak uzbrojony otworzył okno domu. Szlachcic je„dnym zamachem uciął straszydłu rękę, i chustkę zdobył. Umarł „wprawdzie, i cała jego rodzina wymarła, ale odtąd nigdy „we wsi nieznano morowego powietrza.„ Chustka owa miała

Str. w.

być zachowaną w kościele, niepomnę jakiego miasteczka. Na wschodzie przed zjawieniem się dżumy ma się pokazywać widmo na skrzydłach nietoperza, i palcami wytykać wskazanych na śmierć. Zdaje się że imaginacya gminna w podobnych obrazach przedstawić chciała to przeczucie tajemne i tę dziwną trwogę, która zwykła poprzedzać wielkie nieszczęścia lub zgon, a którą nie tylko pojedyncze osoby, ale całe narody częstokroć podzielają. Tak w Grecyi przeczuwano długie trwanie i okropne skutki wojny peloponeskiej, w państwie rzymskiém upadek monarchii, w Ameryce przybycie Hiszpanów i t. d.

20. 45. *Miałem imię Waltera.* (Walter von Stadion) rycerz Niemiecki, wzięty w niewolą od Litwinów, zaślubił córkę Kiejstuta, i z nią potajemnie ujechał z Litwy. Często się zdarzało, że Prusacy i Litwini dziećmi porwani i wychowani w Niemczech, powracali do ojczyzny i stawali się najsroższemi Niemców nieprzyjaciołmi. Takim był pamiętny w dziejach zakonu Prusak Herkus Monte.

66. 1. *Wojna.* Obraz téj wojny skreślony podług historyi.

71. 20. *Trybunał tajemny.* W wiekach średnich, kiedy możni dukowie i baroni dopuszczali się częstokroć wszelkich zbrodni, kiedy powaga zwyczajnych trybunałów była za słaba na ich poskromienie, zawiązało się bractwo tajemne, którego członkowie nie znając się między sobą, obowiązywali się przysięgą karać winnych, nie przepuszczając własnym przyjaciołom lub krewnym. Skoro sędziowie tajemni wydali wyrok śmierci, uwiadamiano potępionego, wołając nań pod oknami lub gdziekolwiek

w jego obecności: (weh!) *biada!* To trzykroć powtórzone słowo było ostrzeżeniem; kto je usłyszał, gotował się na śmierć, którą niechybnie a niespodziewanie miał z ręki niewiadomej odebrać. Sąd tajemny nazywał się jeszcze trzybunałem *femicznym* (Vemgericht) albo *Westfalskim*. Trudno oznaczyć kiedy wziął początek; podług niektórych miał być ustanowiony przez Karola wielkiego. Zrazu potrzebny, dał następnie powód do różnych nadużyć, i rządy zmuszone były srożyć się nieraz przeciwko samymże sędziom, nim tę instytucyą całkiem obalono.

Nazwaliśmy powieść naszę historyczną, bo charaktery działających osób, i wszystkie ważniejsze wspomnione w niej zdarzenia, skreślone są podług historyi. Owczesne kroniki w cząstkowych rozerwanych spisach, nieraz odgadywane tylko i domysłami dopełniane być muszą, by z nich jaką całość historyczną utworzyć. Lubo w dziejach Wallenroda pozwoliłem sobie domysłów, mam nadzieję usprawiedliwić je podobieństwem do prawdy. Podług kronik Konrad Wallenrod nie pochodził ze sławnej w Niemczech rodziny Wallenrodów, chociaż udawał się za jej członka. Miał być czyimś synem z nieprawego łoża. Kronika Królewiecka (biblioteki Wallenroda) powiada (er war ein Pfaffenkind.) O charakterze tego dziwnego człowieka różne i sprzeczne czytamy podania. Większa część kronikarzy wyrzuca mu dumę, okrucieństwo, pijaństwo, srogość dla podwładnych, małą gorliwość o wiarę, a nawet nienawiść ku duchownym. (Er war ein rechter Leuteschinder). (Kro-

nika biblioteki Wallenroda). (Nach Krieg, Zank und Hader hat sein Herz immer gestanden; und ob er gleich ein Gott ergebener Mensch von Wegen seines Ordens seyn sollte, doch ist er allen frommen geistlichen Menschen Gräuel gewesen. (*David Lucas*). Er regierte nicht lang, denn Gott plagte ihn inwendig mit dem lausenden Feuer). Z drugiej strony przyznają mu owcześni pisarze wielkość umysłu, męstwo, szlachetność i moc charakteru; jakoż bez rzadkich przymiotów nie mógłby władzy swojej utrzymać śród powszechnej nienawiści i klęsk, które na Zakon sprowadził. — Przypomnijmy teraz postępowanie Wallenroda. Kiedy objął rządy Zakonu, sposobna zdarzała się pora wojowania z Litwą; bo Witold przyrzekał sam Niemców na Wilno prowadzić, i hojnie im posiłki wynagrodzić. Wallenrod jednak zwlekał wojnę, co gorsza, zraził Witolda i tak mu niebacznie zaufał, że ten książe pogodziwszy się tajemnie z Jagiełłą, nie tylko s Prus uszedł, ale po drodze, wchodząc do zamków niemieckich jak przyjaciel, palił je i załogi wycinał. W tak niepomyślnej zmianie okoliczności należało wojnę zaniechać, albo bardzo ostrożnie przedsiębrać. Wielki Mistrz ogłasza krucyatę, wysypuje skarby Zakonu na przygotowania (5,000,000 Mark, około miliona złotych Węgierskich, summa na owe czasy niezmierna), ciągnie do Litwy. Mógłby Wilno zdobyć, gdyby czasu na uczłach i oczekiwaniach posiłków nie zmarnował. Nadeszła jesień, Wallenrod zostawiwszy obóz bez żywności, i w największym bezładzie uchodzi do Prus. Kronikarze i poźniejsi historycy nie mogą zgadnąć przyczyny tak nagłego odjazdu, i nie znajdują w owczesnych okolicznościach żadnego dań powodu. Niektórzy przypisywali ucieczkę Wallenroda, pomieszaniu rozumu. Wszystkie tu wymienione sprzeczności w charakterze i postępowaniu naszego bohatyra, dają się pogodzić, jeśli przypuścimy że był Litwinem,

że wszedł do Zakonu, aby się nad nim zemścił. Jakoż, panowanie jego zadało najsroższy cios potędze Krzyżaków. Przypuszczamy, że Wallenrod był owym Walterem Stadionem. Skracając tylko o lat kilkanaście czas ubiegły między odjazdem Waltera z Litwy i ukazaniem się Konrada w Maryenburgu. Wallenrod umarł r. 1394 śmiercią nagłą; dziwne wypadki miały towarzyszyć jego zgonowi. (Er starb,) powiada Kronika, (in Raserey ohne letzte Oehlung, ohne Priestersegen. Kurz vor seinem Tode wütheten Stürme, Regengüsse, Wasserfluthen; die Weichsel und die Nogat durchbrachen ihre Dämme... hingegen wühlten die Gewässer sich eine neue Tiefe da, wo jetzt Pilau steht). Halban czyli, jak go zowią kronikarze doktor (Leander von Albanus) mnich, jedyny i nie odstępny towarzysz Wallenroda, lubo udawał pobożność, był, podług kronikarzy, heretykiem, poganinem, a może czarownikiem. O zgonie, Halbana nie ma pewnych wiadomości. Niektórzy piszą, że utonął, inni, że uszedł tajemnie lub od szatana porwany został. Kroniki przywodziliśmy po większej części z dzieła Kotzebue: (Preussens Geschichte, Belege und Erläuterungen). Hartknoch, nazywając Wallenroda (unsinnig,) bardzo krótką daje o nim wiadomość.

Lubo rodzaj wiersza, użyty w *powieści Wajdeloty* mało iest znany, nie chcemy wykładać powodów, które nas do tej nowości skłoniły, aby nie uprzedzać zdania czytelników. Za miarę zgłosek uważaliśmy akcent zachowujący się w wymawianiu; radziliśmy się tu uwag zawartych w ważnem dziele Krolikowskiego. Wprawdzie w kil-

ku miejscach odstąpiliśmy od podanych przezeń prawideł, tłumaczyć się tu jednak z tego względu, nie poczytujemy za rzecz stosowną i potrzebną. Oto jest kilku wierszy skandowanie:

Skąd Li | twini wra | cają | z nocnej wra | cają wy | cieczki

Wiozą łupy bo | gate | w zamkach i | cerkwiach zdo | byte.

Sama nie | widzi co | robi | wszyscy mi | to powia | dają.

W budowie wiersza naśladowano hexametr grecki, z tą różnicą, że w miejscu spondeów (---- ----), używano najczęściéj trocheów (– ◡), albo – ◡̲. W dwóch lub trzech miejscach daktyle zastąpione są przez *antibacchius* (--- --- ◡), którego średnia zgłoska nie jest wyraźnie długą; n. p. krzyk mojej | matki.

OMYŁKI.

Str:	--	*wie:*	*zamiast*	*czytaj*
15	---	7	płacz	--- płaszcz
46	---	22	niźli złota	--- niźli złota.
47	---	9	i rozciąga się	--- i rozciąga.
48	---	7	ciągnie się	--- ciągną się
60	---	1	szedłem	--- szedł
84	---	15	nie zdoła	--- nie zdołał.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
71416
Biblioteka WSP Kielce
0227485